

WILKI Z CALLA

STEPHEN
KING



MROCZNA WIEŻA V

STRESZCZENIE

Wilki z Calla to piąty tom długiej opowieści zainspirowanej poematem Roberta Browninga *Sir Roland pod Mroczną Wieżą stanął*. Szósty tom, *Pieśń Susannah*, ukaże się w 2004 roku. Siódmy i ostatni, zatytułowany *Mroczna Wieża*, zostanie wydany pod koniec tego samego roku.

Pierwsza część cyklu, *Roland*, opowiada o tym, jak Roland Deschain z Gilead ściga i w końcu dopada Waltera, człowieka w czerni, który udawał przyjaciela ojca Rolanda, lecz w rzeczywistości służył Karmazynowemu Królowi odległego Końca Świata. Schwywanie półczłowieka Waltera jest dla Rolanda kolejnym krokiem na drodze do Mrocznej Wieży, w której ma nadzieję znaleźć sposób na powstrzymanie lub nawet odwrócenie procesu coraz szybszego rozpadu Świata Pośredniego i powolnej śmierci Promieni.

Kiedy spotykamy Rolanda, Mroczna Wieża jest jego obsesją, Świętym Graalem i jedynym celem w życiu. Dowiadujemy się, jak czarnoksiężnik Marten próbował wykluczyć młodego Rolanda z gry, starając się, by w niełasce odesłano go na Zachód. A jednak Rolandowi udało się pokrzyżować plany Martena, głównie dzięki mądrym wyborowi broni podczas inicjacji.

Steven Deschain, ojciec Rolanda, wysłał swego syna oraz dwóch jego przyjaciół (Cuthberta Allgooda i Alaina Johnsa) do nadmorskiej Baronii Mejis, głównie po to, by chłopiec znalazł się poza zasięgiem Waltera. Tam Roland poznaje Susan Delgado i zakochuje się w niej.

Dziewczyna ma groźną nieprzyjaciółkę, wiedźmę Rheę z Cöos, która zazdrości jej urody i jest szczególnie niebezpieczna, ponieważ ma jedną z kryształowych kul zwanych Tęczą Czarnoksiężnika... lub kryształami. Istnieje trzynaście takich kul, z których najpotężniejszą i najniebezpieczniejszą jest Czarna Trzynastka. Roland i jego przyjaciele przeżywają wiele przygód w Mejis i chociaż uchodzą z nich z życiem (a także z różowym kryształem), Susan Delgado, śliczna dziewczyna w oknie, zostaje spalona na stosie. Tę opowieść zawiera czwarty tom cyklu, *Czarnoksiężnik i kryształ*.

Czytając kolejne tomy *Mrocznej Wieży*, odkrywamy, że świat rewolwerowca jest w ważny i niesamowity sposób powiązany z naszym. Pierwsze z tych powiązań poznajemy, kiedy Jake, chłopiec mieszkający w 1977 roku w Nowym Jorku, spotyka Rolanda w opuszczonym zajeździe na trasie dylizansów, wiele lat po śmierci Susan Delgado. Między światem Rolanda a naszym znajduje się dużo drzwi, a jednymi z nich jest śmierć. Jake trafia do zajazdu na pustyni, po tym jak został wepchnięty pod samochód jadący Czterdziestą Trzecią Ulicą. Kierowcą samochodu był niejaki Enrico Balazar. Popychającym był niebezpieczny psychopata Jack Mort – uosobienie Waltera na nowojorskim poziomie Mrocznej Wieży.

Zanim Jake i Roland dopadną Waltera, Jake ginie ponownie... dlatego że rewolwerowiec, postawiony przed okrutnym wyborem między życiem przybranego syna i Mroczną Wieżą, wybiera Wieżę. Ostatnie słowa Jake'a, zanim chłopiec runie w przepaść, brzmią: „Więc idź. Są światy inne niż ten”.

Do rozstrzygającego spotkania Rolanda z Walterem dochodzi w pobliżu Morza Zachodniego. W czasie długiej nocnej rozmowy człowiek w czerni przepowiada Rolandowi przyszłość za pomocą dziwnej talii kart tarota. Trzy z tych kart – Więzień, Władczyni Mroku i Śmierć („lecz jeszcze nie dla ciebie, rewolwerowcze”) – zwracają szczególną uwagę Rolanda.

Tom drugi, *Powołanie Trójki* rozpoczyna się na brzegu Morza Zachodniego niedługo po tym, jak Roland budzi się po spotkaniu z Walterem. Wyczerpanego rewolwerowca atakuje horda mięsożernych homarokoszmarów i zanim zdoła im uciec, traci dwa palce prawej ręki. Rana jest zainfekowana i ruszając w dalszą drogę wzdłuż brzegu Morza Zachodniego, rewolwerowiec jest chory i bliski śmierci.

W trakcie swej wędrówki napotyka stojące na plaży drzwi. Prowadzą one do Nowego Jorku w trzech różnych „niegdyś”. Z 1987 roku Roland powołuje Eddiego Deana, Więźnia, niewolnika heroiny. Z 1964 roku Odettę Susannah Holmes, kobietę, która straciła nogi, wepchnięta pod skład metra przez psychopatycznego Jacka Morta. To ona jest Władczynią Mroku; w jej umyśle skrywa się druga, skłonna do przemocy osobowość: gwałtowna i sprytna Detta Walker, która zamierza zabić Rolanda i Eddiego, kiedy rewolwerowiec sprowadza ją do Świata Pośredniego.

Roland sądzi, że skompletował Trójkę, powołując Eddiego i Odettę, gdyż Odetta ma podwójną osobowość, gdy jednak Odetta i Detta zmieniają się w Susannah (głównie dzięki miłości i odwadze Eddiego Deana), rewolwerowiec pojmuje swój błąd. Uświadamia sobie jeszcze coś: udrekę, jaką sprawia mu nieustanne wspomnienie Jake’a, chłopca, który w chwili śmierci mówił o innych światach.

Ziemie jałowe zaczynają się od paradoksu: Roland postrzega Jake’a jako postać jednocześnie żywą i martwą. W Nowym Jorku z końca lat siedemdziesiątych Jake’a Chambersa dręczy to samo pytanie: żywy czy martwy? Jaki? Zabiwszy gigantycznego niedźwiedzia zwanego Mirem (przez dawnych ludzi, którzy panicznie się go bali) lub Shardikiem (przez Wielkich Dawnych, którzy go zbudowali), Roland z Eddiem i Susannah, idąc tropem bestii, odkrywają ścieżkę Promienia, znaną jako Shardik do Maturina, Niedźwiedź do Żółwia. Niegdyś było sześć takich Promieni, łączących dwanaście portali znajdujących się na krańcach Świata Pośredniego. W miejscu, gdzie się przecinają, w środku świata Rolanda (i – być może – wszystkich innych światów) wznosi się Mroczna Wieża, centrum wszystkich „gdzieś” i „kiedyś”.

Eddie i Susannah już nie są więźniami świata Rolanda. Zakochani w sobie, znajdujący się na dobrej drodze, aby również zostać rewolwerowcami, stają się pełnoprawnymi uczestnikami wyprawy i dobrowolnie towarzyszą Rolandowi, ostatniemu *seppesai* (sprzedawcy śmierci), kroczącemu ścieżką Shardika, drogą Maturina.

W mówiącym kręgu niedaleko Bramy Niedźwiedzia dziura czasowa zostaje załatana i paradoks rozwiązany przez powołanie prawdziwego Trzeciego. Jake ponownie wkracza do Świata Pośredniego w wyniku niebezpiecznego rytuału, podczas którego wszyscy czworo – Jake,

Eddie, Susannah i Roland – pamiętają oblicza swych ojców i zachowują się z honorem. Wkrótce potem czwórka zmienia się w piątkę, gdy Jake zaprzyjaźnia się z billy-bumblrem. Bumblery, przypominające skrzyżowanie borsuka z szopem i psem, potrafią wypowiadać niektóre słowa. Jake nazywa swego nowego przyjaciela Ejem.

Wędrowcy zmierzają w kierunku Ludu, gdzie zdegenerowani potomkowie dwóch frakcji toczą niekończącą się walkę. W drodze do miasta, w niewielkim River Crossing, spotykają grupkę starych ludzi, pamiętających dawne dni. Ci rozpoznają w Rolandzie rycerza z dawnych czasów, „nim świat poszedł naprzód”, i podejmują ze złością jego wraz z przyjaciółmi. Opowiadają pielgrzymom o jednoszynowym pociągu, który być może w dalszym ciągu jeździ z miasta Lud, przez ziemie jałowe, ścieżką Promienia do Mrocznej Wieży.

Ta wieść przeraża, lecz nie zaskakuje Jake'a, który przed opuszczeniem Nowego Jorku nabył dwie książki w księgarni prowadzonej przez mężczyznę o dającym do myślenia nazwisku Calvin Tower (Wieża). Jedną z nich jest zbiór zagadek z wydartymi rozwiązaniami. Druga, *Charlie Puf-Puf*, to bajka, w której pobrmiewają groźne echa Świata Pośredniego. Na przykład w Wysokiej Mowie, którą posługiwał się dorastający w Gilead Roland, słowo *char* oznacza śmierć.

Ciotka Talitha, matrona z River Crossing, daje Rolandowi srebrny krzyżyk na łańcuszku i wędrowcy ruszają w dalszą drogę. Podczas przeprawy przez wałący się most nad rzeką Send Jake zostaje porwany przez umierającego (i bardzo niebezpiecznego) bandytę Gashera, który zabiera swego jeńca do podziemnej kryjówki Tik-Taka, ostatniego przywódcy frakcji Siwych.

Podczas gdy Roland i Ej ruszają na ratunek Jake'owi, Eddie i Susannah odnajdują Kolebkę Ludu i budzą Blaine'a Mono. Blaine jest ostatnim naziemnym urządzeniem sterowanym przez ogromny system komputerowy, znajdujący się pod miastem Lud, i interesujący go wyłącznie zagadki. Obiecuje zawieźć wędrowców aż do ostatniej stacji swej trasy... jeśli zadadzą mu zagadkę, której nie zdoła rozwiązać. W przeciwnym wypadku, powiada Blaine, czeka ich śmierć.

Roland uwalnia Jake'a, pozostawiając umierającego Tik-Taka. Andrew Quick jednak żyje. Na pół oślepiiony, z okropną raną twarzy, zostaje uratowany przez człowieka, który podaje się za Richarda Fannina. Przedstawia się również jako Wieczny Przybysz, demon, przed którym ostrzegano Rolanda.

Wędrowcy opuszczają umierające miasto Lud i podążają dalej, tym razem koleją jednoszynową. Fakt, że kierujący tym pociągiem sztuczny mózg rozpada się wraz z miastem, a różowy superekspres mknie po rozsypującym się torze z szybkością przekraczającą osiemset mil na godzinę, w niczym nie poprawia sytuacji. Tylko zadając Blaine'owi zagadkę, której komputer nie zdoła rozwiązać, bohaterowie mogą ujść z życiem.

Na początku tomu *Czarnoksiężnik i kryształ* Eddie istotnie zadaje taką zagadkę, pokonując Blaine'a typowo ludzką bronią: brakiem logiki. Pociąg zatrzymuje się w mieście Topeka w stanie Kansas, wyludnionym przez zarazę zwaną supergrypą. Kiedy ruszają dalej ścieżką Promienia (teraz będącą apokaliptyczną wersją międzystanowej autostrady I-70), dostrzegają niepokojące znaki. WYŚLAWIAJCIE KARMAZYNOWEGO KRÓLA, głosi jeden. STRZEŻ SIĘ WĘDRUJĄCEGO GOŚCIA, głosi drugi. A uważni czytelnicy szybko się zorientują, że ów Wędrujący Gość jest bardzo podobny do Richarda Fannina.

Opowiedziawszy swoim przyjaciołom historię Susan Delgado, Roland dociera z nimi do zbudowanego na autostradzie pałacu z zielonego szkła, niezwykle przypominającego ten, którego Dorotka szukała w *Czarnoksiężniku z krainy Oz*. W sali tronowej tego wielkiego zamczyska spotykają nie Wielkiego i Straszego Oza, lecz Tik-Taka, ostatniego uchodźcę z ginącego miasta Lud. Umierający Tik-Tak zmienia się w prawdziwego Czarnoksiężnika. To odwieczny wróg Rolanda, Marten Broadcloak, w niektórych światach znany jako Randall Flag, w innych jako Richard Fannin, a w jeszcze innych jako John Farson (Dobry Człowiek). Roland i jego przyjaciele nie są w stanie zabić tej zjawy, która po raz ostatni ostrzega ich, żeby zrezygnowali z wyprawy do Mrocznej Wieży („Przeciwko mnie będziesz miał tylko niewypały, Rolandzie, stary przyjacielu – powiedział rewolwerowcowi”), ale udaje im się ją przegnać.

Po ostatniej wyprawie, której celem było zdobycie kryształu

Czarnoksiężnika, i po poznaniu jeszcze jednego przerażającego faktu – że Roland z Gilead zabił własną matkę, wzięwszy ją za wiedźmę imieniem Rhea – wędrowcy powracają do Świata Pośredniego i na ścieżkę Promienia. Ruszają w dalszą drogę i w tym momencie spotykamy się z nimi na pierwszych stronach *Wilków z Calla*.

Powyższe streszczenie w żadnym razie nie jest wyczerpującym podsumowaniem pierwszych czterech tomów cyklu *Mrocznej Wieży*. Jeśli ich nie czytaliście, radzę zrobić to teraz albo zrezygnować z lektury. Wszystkie te książki są częściami jednej długiej opowieści, którą należy przeczytać od początku do końca, a nie rozpoczynać od środka.

PROLOG

POKUR

1

Los obdarzył (choć niewielu farmerów użyłoby takiego słowa) Tiana trzema kawałkami ziemi: Nadrzecznym Polem, na którym jego rodzina od niepamiętnych czasów sadziła ryż; Przydrożnym Polem, gdzie *ka*-Jaffordsowie uprawiali buraki cukrowe, dynie lub zboże od równie wielu lat i pokoleń, oraz Sukinsynem, czyli ugonem, który dawał tylko skały, pęcherze i zawiedzione nadzieje. Tian nie był pierwszym z Jaffordsów, który postanowił zrobić coś z tymi dwudziestoma akrami za ich rodzinnym domem. Jego dziad, we wszystkich innych sprawach przeważnie wykazujący zdrowy rozsądek, był przekonany, że znajdzie tam złoto. Mama Tiana była równie pewna tego, że można uprawiać na tej ziemi *porin*, będący ceną przyprawą. Natomiast Tian miał kręcka na punkcie madrygału. To jasne, że madrygał doskonale obrodzi na Sukinsynie. Po prostu musi tam obrodzić. Tian zdobył tysiąc nasion (które kosztowały go majątek) i schował je pod podłogą swojej sypialni. Teraz, żeby zasiać je w przyszłym roku, musiał tylko rekultywować Sukinsyna. Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić.

Klan Jaffordsów mógł się poszczycić żywym inwentarzem, między innymi trzema mułami, ale tylko szalenie próbowałyby orać mułem Sukinsyna. Nieszczęsne zwierzę, wykorzystane do wykonania tego zadania, zapewne jeszcze przed południem pierwszego dnia padłoby ze złamaną nogą lub użądłone na śmierć. Przed kilkoma laty taki los o mało nie spotkał jednego z wujów Tiana. Przybiegł z powrotem do domu, wrzeszcząc na całe gardło, ścigany przez olbrzymie zmutowane

osy o żądłach wielkości gwoździ.

Znaleźli ich gniazdo (a raczej znalazł je Andy, który nie obawiał się os, choćby nie wiem jak wielkich), polali je naftą i spalili, ale mogły być tam inne. I te dziury. Do licha, były wszędzie, a nie można spalić dziur, no nie? Nie da się. Sukinsyn leżał na czymś, co starzy ludzie nazywali „luźnym gruntem”. Było na nim niemal tyle samo dziur, co głazów, nie mówiąc już o jaskiniach, przynajmniej jednej, z której wydobywały się opary paskudnie cuchnącego gazu. Kto wie, jakie strachy i zjawy mogły czaić się w jej ciemnej gardzieli?

A najgorsze dziury kryły się tam, gdzie człowiek (ani muł) nie mógł ich zauważyć. W żadnym razie, panie szanowny, nie dało się. Zawsze kryły się w niewinnie wyglądających kępach chwastów i wysokiej trawy. Jeśli muł trafił na taką, dawał się słyszeć głośny trzask, jakby pękła gałąź, po czym przekłete zwierzę padało na ziemię, szczerząc zęby, wytrzeszczając ślepia, i ryczało z bólu pod niebiosa. Przynajmniej dopóki nie skróciło się jego cierpienie, a w Calla Bryn Sturgis zwierzęta były bardzo cenne, nawet te rzadko używane jako pociągowe.

Tak więc Tian orał swoją siostrą. A czemu nie? Tia była pokurem, więc właściwie do niczego innego się nie nadawała. Była rosłą dziewczuchą – pokury często osiągają spore rozmiary – a także chętną. Jezusie-Człowieku miej ją w opiece. Stary Człowiek zrobił jej jezusowe drzewko, które nazywał „krusyfiksem”, a ona nosiła je przez cały czas. Teraz kołysało się i obijało o jej spoconą skórę, kiedy ciągnęła pług. Ten był przytroczone do jej ramion rzemienną uprzężą. Idąc za nią, trzymając pług za rączki z żelaznego drzewa i kierując ruchami siostry za pomocą lejców, Tian stękał, szarpał i popychał, gdy lemiesz wchodził zbyt głęboko, grożąc uwięzieniem. Był koniec Pełnej Ziemi, lecz tutaj, na Sukinsynie, było gorąco jak w środku lata. Kombinezon Tii był ciemny od potu i kleił się do jej długich i masywnych ud. Za każdym razem gdy Tian potrząsał głową, żeby odgarnąć spadające na oczy włosy, pot pryskał z nich na wszystkie strony.

– Dawaj, suko! – wrzasnął. – Tamuj leży głaz, co może złamać lemiesz. Ślepa jesteś?

Nie ślepa i nie głucha – po prostu pokur. Skręciła w lewo energicznie. Idący za nią Tian zachwiał się, gwałtownie szarpnięty, i otarł sobie łydkę o inny głaz, którego nie zauważył i jakimś cudem

ominał lemieszem. Czując strużki spływającej mu po nodze krwi, zadał sobie pytanie (nie po raz pierwszy), co za szaleństwo sprowadza tu wiecznie Jaffordsów. W głębi serca przeczuwał, że madrygał nie wszędzie tutaj, tak samo jak kiedyś *porin*, chociaż można było na tym ugorze uprawiać diabelskie ziele. Taak, mógłby mieć to gównno na całych dwudziestu akrach, gdyby chciał. Chodzi jednak o to, żeby od tego nie dopuścić, i od tego zawsze zaczynało prace polowe w sezonie Nowej Ziemi. Diabelskie ziele...

Plug skręcił w prawo, a potem skoczył do przodu, o mało nie wyrwywając mu rąk ze stawów.

– Auu! – krzyknął. – Spokojnie, dziewczyno! Ręce mi nie odrosną, jak mi je wyrwiesz, no nie?

Tia uniosła szeroką, spoconą twarz ku zasnutemu nisko wiszącymi chmurami niebu i ryknęła śmiechem. Panie Jezu, naprawdę ryczała jak osioł. A jednak to był śmiech, ludzki śmiech. Tian czasem mimo woli zastanawiał się, czy ten śmiech rzeczywiście coś wyraża. Czy ona rozumiała choć trochę z tego, co mówił, czy też reagowała tylko na ton jego głosu? Czy któryś z pokurów...

– Dzień dobry, *sai* – rozległ się głośny i beznamiętny głos za jego plecami. Właściciel głosu zignorował zaskoczony okrzyk Tiana. – Miłych i licznych dni na tej ziemi. Przybyłem tu po długiej wędrówce i jestem do twoich usług.

Tian gwałtownie odwrócił się. Zobaczył tuż obok Andy'ego – w całej dwumetrowej okazałości – i o mało nie klapnął na tyłek, gdy siostra zrobiła kolejny energiczny krok do przodu. Gwałtownie szarpnięte lejce wyslizgnęły mu się z dłoni i z głośnym klaśnięciem owinęły wokół szyi. Tia, nieświadoma niczego, zrobiła kolejny krok. Lejce zacisnęły się na szyi Tiana, pozbawiając go tchu. Zarządził, rozpaczliwie szarpiać rzemienie. Andy przyglądał się temu ze swym szerokim i głupawym uśmiechem.

Tia ponownie szarpnęła uprząż, zwalając Tiana z nog. Wylądował na kamieniu, który boleśnie wbił mu się między pośladki, ale przynajmniej znów mógł oddychać. Przynajmniej przez chwilę. Przekłete, pechowe pole! Zawsze takie było! I zawsze będzie!

Tian chwycił lejce, zanim znów zacisnęły mu się na szyi, i wrzasnął:

– Stój, ty suko! Zatrzymaj się, jeśli nie chcesz, żebym ukręcił ci te wielkie i bezużyteczne cyce!

Tia posłusznie zatrzymała się i obejrzała, sprawdzając, o co chodzi. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Podniosła muskularną rękę – lśniącą od potu – i wskazała palcem.

– Andy! – powiedziała. – Andy przyszedł.

– Nie jestem ślepy – warknął Tian i wstał, rozcierając sobie pośladki. Czy z nich też płynęła krew? Jezusie-Człowieku, podejrzewał, że tak.

– Dzień dobry, *sai* – zwrócił się do niej Andy i trzykrotnie stuknął trzema palcami w metalową szyję. – Długich dni i przyjemnych nocy.

Chociaż Tia z pewnością słyszała standardową odpowiedź na to powitanie – „A tobie dwakroć tyle” – co najmniej tysiąc razy, zdołała tylko podnieść swą szeroką twarz ku niebu i znów ryknąć tym głupawym śmiechem. Przez moment Tian poczuł zadziwiająco dotkliwy ból, nie ramion, szyi czy pokiereszowanych pośladków, lecz serca. Pamiętał ją jako małą dziewczynkę, śliczną i szybką jak ważka, bystrą jak mało kto. Potem...

Zanim jednak zdołał dokończyć tę myśl, napłynęła następna. Przestraszył się. *Wieści mogły przyjść akurat teraz, kiedy jestem tutaj. Na tym przeklętym polu, gdzie nic się nie udaje i wszystko idzie źle. Przecież to już czas, no nie? To już ten czas.*

– Andy – powiedział.

– Tak! – odparł z uśmiechem Andy. – Andy, wasz przyjaciel! Wróciłem po długiej podróży, aby wam służyć. Chcesz poznać swój horoskop, *sai* Tian? Mamy Pełną Ziemię. Księżyc ma czerwoną barwę. W Świecie Pośrednim nazywano go Księżycem Łowczyni. Spotkanie z przyjacielem! Powodzenie w interesach! Wpadniesz na dwa pomysły, jeden dobry, drugi zły...

– Tym złym było oranie tego pola – przerwał mu Tian. – Daj spokój cholernemu horoskopowi, Andy. Po co przyszedłeś?

Uśmiech Andy'ego zapewne nie mógł wyrażać zakłopotania – w końcu był robotem, ostatnim w Calla Bryn Sturgis oraz w promieniu wielu mil i kół – a mimo to Tianowi wydał się zakłopotany. Robot wyglądał jak dorosły narysowany przez dzieciaka – niewiarygodnie wysoki i chudy. Nogi i ręce miał ze srebrzystego metalu. Głowę jak beczka z nierdzewnej stali, i elektroniczne oczy. Tułów, niewiele grubszy od rurki, złocisty. Na środku tego, co u człowieka byłoby torsem, znajdowała się tabliczka:

◦ NORTH CENTRAL POSITRONICS, LTD ◦

WRAZ Z

LaMERK INDUSTRIES

PRODUKT:

ANDY

Model: POSŁANIEC (I Wiele Innych Funkcji)

Numer seryjny: DNF-44821-V-63 ◦

Tian nie wiedział i nie dbał o to, dlaczego ten głupek przetrwał, podczas gdy wszystkie inne roboty przestały istnieć – już od wielu pokoleń. Można go było spotkać w każdym zakątku Calla (której granic nie opuszczał), kroczącego na swych niewiarygodnie cienkich srebrzystych nogach, zaglądnącego wszędzie i od czasu do czasu popiskującego do siebie, gdy magazynował (a może kasował, kto to wie?) informacje. Śpiewał piosenki, roznosił plotki oraz wieści z jednego końca miasta na drugi – gdyż robot Andy był niestrudzonym wędrowcem i Posłańcem – i ze szczególnym upodobaniem zdawał się przekazywać horoskopy, chociaż wszyscy w miasteczku zgodnie twierdzili, że przeważnie bezwartościowe.

Robił jednak coś jeszcze, i to coś bardzo ważnego.

– Po co tu przyszedłeś, ty kupo złomu? Odpowiadaj! Czy to Wilki? Przybywają z Jądra Gromu?

Tian stał, patrząc na głupkowato uśmiechniętą metalową twarz Andy'ego, czując strużkę zimnego potu, spływającą po plecach, i modląc się gorąco, żeby ten dureń zaprzeczył i ponownie zaproponował podanie horoskopu lub zaśpiewanie wszystkich dwudziestu lub trzydziestu zwrotek piosenki *Zieleni się żytko, zieleni*.

Wciąż uśmiechnięty Andy odpowiedział:

– Tak, *sai*.

– Chryste i Jezusie-Człowieku – rzekł Tian (z opowieści Starego Człowieka domyślał się, że te dwa słowa oznaczają to samo, ale nigdy nie próbował tego dociec). – Kiedy?

– Minie jedna pora księżycowa, zanim tu dotrą – odparł wciąż uśmiechnięty Andy.

– Od pełni do pełni?

– Prawie, *sai*.

Zatem trzydzieści dni, mniej więcej. Trzydzieści dni do przybycia Wilków. I nie było sensu się łudzić, że Andy się myli. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób robot z takim wyprzedzeniem wie, kiedy Wilki przybywają z Jądra Gromu, ale wiedział. I nigdy się nie mylił.

– Pieprzyć cię za te parszywe wieści! – wykrzyknął Tian, zły na siebie za drżenie głosu. – Co z ciebie za pożytek?

– Przykro mi, że to złe wieści – rzekł Andy. Coś głośno szcęknęło w jego trzewiach, a oczy rozjarzyły się intensywniejszym błękitem, gdy zrobił krok do tyłu. – Może chcesz poznać swój horoskop? Mamy koniec Pełnej Ziemi, szczególnie sprzyjający czas do zakończenia starych spraw i poznania nowych ludzi...

– I pieprzę twoje fałszywe prorocтва!

Tian pochylił się, podniósł grudę ziemi i cisnął nią w robota. Tkwiący z bryle kamyk z brzękiem odbił się od metalowej powłoki Andy’ego. Tia jęknęła i zaczęła płakać. Andy cofnął się o jeszcze jeden krok, przy czym jego długi cień przesunął się po Sukinsynie. Wciąż się uśmiechał tym znieawidzonym, głupkowskim uśmiechem.

– A może piosenkę? Nauczyłem się bardzo zabawnej od Manni na północnym krańcu miasta. Nazywa się *Jak trwoga to do Boga*.

Gdzieś z wnętrza Andy’ego wydobył się drżący brzęk drumli, a potem dźwięki fortepianu.

– Brzmi tak...

Pot spływał Tianowi po policzkach i przylepiał swędzące jądra do ud. Cuchnący zapach jego głupiej obsesji. Tia z tępą miną, rycząca wniebogłosy. I ten zidiociały, przynoszący złe wieści robot, szykujący się do odśpiewania jakiegoś cholernego psalmu Mannich.

– Cicho bądź, Andy – powiedział dość spokojnie, ale przez zaciśnięte zęby.

– *Sai* – zgodził się robot, po czym na szczęście zamilkł.

Tian podszedł do płaczącej siostry, objął ją ramieniem i poczuł jej intensywny (choć nie tak znów nieprzyjemny) zapach. Nie była to woń obsesji, lecz pracy i posłuszeństwa. Westchnął i pogładził jej drżące ramię.

– Przestań, ty wielka mazgajowata cipo.

Te przykre słowa powiedział niezwykle łagodnie, a ona zareagowała

na ton głosu. Zaczęła się uspokajać. Jej brat stał, czując ucisk biodra siostry tuż poniżej żeber (ponieważ była od niego o dobrą stopę wyższa) i przypadkowy przechodzień z pewnością przystanąłby na ich widok, zdumiony podobieństwem twarzy i ogromną różnicą wzrostu. Przynajmniej to podobieństwo wydawało się zupełnie naturalne: byli bliźniakami.

Uspokoił siostrę, łącząc czułe słowa ze zniewagami – od kiedy wróciła ze wschodu jako pokur, Tian Jaffords nie zwracał się do niej inaczej – i wreszcie przestała szlochać. A gdy po niebie przemknął kruk, zataczając kręgi i jak zwykle wydając szereg nieprzyjemnych dźwięków, wskazała ptaka palcem i roześmiała się.

Tiana ogarnęło dziwne uczucie, tak obce jego naturze, że nawet nie potrafił go nazwać.

– To nie w porządku – powiedział. – Nie, ludzie. Na Jezusa-Człowieka i wszystkich innych bogów, nie w porządku.

Spojrzał na wschód, gdzie wzgórza wtapiały się w ścianę nieprzeniknionej ciemności, która mogła być, lecz nie była warstwą chmur. Był to skraj Jądra Gromu.

– To nie w porządku, co z nami robią.

– Na pewno nie chcesz poznać swojego horoskopu, *sai*? Widzę lśniące monety i piękną czarnowłosą damę.

– Czarnowłose damy będą musiały obejść się beze mnie – odparł Tian i zaczął ściągać uprząż z szerokich ramion siostry. – Jestem żonaty, o czym z pewnością dobrze wiesz.

– Wielu żonatych mężczyzn ma kochanki – zauważył Andy. W uszach Tiana zabrzmiało to jak szyderstwo.

– Nie ci, którzy kochają swoje żony. – Tian przerzucił uprząż przez ramię (zrobił ją sam, gdyż w większości zagród zawsze jej brakowało) i ruszył w kierunku domu. – A w każdym razie nie farmerzy. Pokaż mi farmera, którego stać na kochankę, a ucałuję twoje błyszczące dupsko. Zbieraj się, Tia. Ruszaj nogami.

– Dom? – spytała.

– Właśnie.

– Obiad w domu? – Spojrzała na niego niepewnie, z nadzieją. – Ziemiaki? – I po chwili dodała: – Sos?

– Jasne – powiedział Tian. – Do licha, czemu nie?

Tia radośnie krzyknęła i popędziła w kierunku zabudowań. Kiedy

biegła, miała w sobie coś, co niemal budziło podziw. Jak zauważył kiedyś ich ojciec, niedługo przed tą jesienią, podczas której odszedł, „Bystra czy głupia, ale kawał z niej baby”.

Tian powoli poszedł za nią, ze spuszczoną głową, wypatrując dziur, które jego siostra omijała, nawet nie patrząc na nie, jakby miała w głowie narysowaną mapę, gdzie zaznaczono je wszystkie. To dziwne nowe uczucie wciąż rosło. Znał gniew – jak każdy farmer, któremu krowy padły na mleczną chorobę lub letni grad położył pokotem zboże – lecz to uczucie było głębsze. Czuł wściekłość, a ta była dla niego czymś nowym. Szedł powoli, ze spuszczoną głową i zaciśniętymi pięściami. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że Andy idzie za nim, dopóki robot nie powiedział:

– Są jeszcze inne wieści, *sai*. Na północny zachód od miasta, ścieżką Promienia, nadchodzą obcy ze Świata Zewnętrznego...

– Chrzanić Promień, obcych i ciebie – warknął Tian. – Zostaw mnie w spokoju, Andy.

Robot na chwilę zatrzymał się w miejscu, wśród głązów, chwastów i jałowych pagórków Sukinsyna, tego ugoru należącego do Jaffordsów. Z jego wnętrza wydobywały się ciche piski. Migotał oczami. Potem postanowił pójść i porozmawiać ze Starym Człowiekiem. Ten nigdy nie kazał mu się chrzanić. Stary Człowiek zawsze chciał poznać swój horoskop.

A ponadto interesował się obcymi.

Andy ruszył w kierunku miasta i Naszej Łaskawej Pani.

2

Zalia Jaffords nie widziała, jak mąż i szwagierka wracają z Sukinsyna, nie słyszała, jak Tia raz po raz zanurza głowę w stojącej przed stodołą beczce z deszczówką, a potem prycha niczym koń. Zalia była po północnej stronie domu, wieszając pranie i pilnując dzieci. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Tian wrócił, dopóki nie zobaczyła, jak patrzy na nią z okna kuchni. Zdziwił ją jego widok, a jeszcze bardziej wyraz twarzy. Był blady jak ściana, nie licząc dwóch jaskrawych plam rumieńców na policzkach i trzeciej, płonącej niczym piętno na środku czoła.

Wrzuciła do kosza na bieliznę kilka klamerek, które wciąż trzymała w ręce, i ruszyła w kierunku domu.

– Gdzie idziesz, muśka? – zawołał Heddon, a Hedda zawtórowa-ła:

– Gdzie idziesz, mamuśka?

– Nieważne – odrzekła. – Wy miejcie oko na maluchy.

– Czemuuu? – zaskomliła Hedda. Doprowadziła ten skowyt do perfekcji. Pewnego dnia przeciągnie strunę i matka zatłucze cholere.

– Ponieważ jesteście najstarsi – powiedziała.

– Ale...

– Zamknij się, Heddo Jaffords.

– Przypilnujemy ich, muśka – obiecał Heddon. Jak zawsze zgodliwy. Może nie tak sprytny jak jego siostra, ale spryt to nie wszystko. Na pewno nie. – Chcesz, żebyśmy rozwiesili pranie?

– Hed-donnn...! – znów zaskomliła jego siostra. Zalia jednak nie miała teraz dla nich czasu. Obrzuciła wzrokiem pozostałych: Lymana i Lię, którzy byli pięcioletkami, a także dwuletniego Aarona. Malec siedział goły na ziemi i z upodobaniem postukiwał kamieniem o kamień. On jeden nie był bliźniakiem, jakże zazdrościły go jej inne kobiety z wioski! Dlatego że Aaron zawsze będzie bezpieczny. Podczas gdy pozostałe dzieci: Heddon i Hedda... Lyman i Lia...

Nagle zrozumiała, co mógł oznaczać niespodziewany powrót męża do domu w środku dnia. Modliła się do bogów, żeby tak nie było, ale kiedy weszła do kuchni i zobaczyła, jak spogląda na dzieci, nabrała pewności, że jednak tak jest.

– Powiedz mi, że to nie Wilki – powiedziała sucho i pospiesznie.

– Powiedz, że nie.

– One – odparł Tian. – Trzydzieści dni, jak twierdzi Andy. Od pełni do pełni. A w tej sprawie Andy nigdy...

Zanim zdołał dokończyć, Zalia przycisnęła dłoń do skroni i krzyknęła. Na podwórku Hedda drgnęła. Już chciała pobiec do domu, ale Heddon powstrzymał ją.

– Przecież nie wezmą takich małych dzieci jak Lyman i Lia, prawda? – zapytała męża. – Może Heddę lub Heddona, ale nie moje maluchy? Przecież one dopiero za pół roku będą miały sześć lat!

– Wilki zabierają nawet trzyletnie dzieci, o czym dobrze wiesz – rzekł Tian.

Raz po raz otwierał i zaciskał dłonie. To uczucie w nim wciąż

rosło – uczucie, które było silniejsze od gniewu.

Z twarzą zalaną łzami popatrzyła na niego.

– Może nadszedł czas powiedzieć nie – oznajmił Tian głosem, którego sam nie poznał.

– Tylko jak? – szepnęła. – Jak, na wszystkich bogów, możemy to zrobić?

– Nie wiem – odparł. – Podejdz tu, kobieto, błagam cię.

Podeszła, rzuciwszy jeszcze jedno spojrzenie przez ramię piątce dzieci na podwórku – jakby upewniając się, że wciąż są tam wszystkie, że Wilki jeszcze ich nie zabrały – po czym przeszła do pokoju stołowego. Na fotelu w kącie przy wygasłym kominku siedział starzec, śpiąc z głową opartą na piersi. Strużka śliny spływała mu z pomarszczonych, bezzębnych ust.

Z tego pokoju widać było stodołę. Tian przyciągnął żonę do okna i wskazał palcem.

– Tam – powiedział. – Widzisz ich, kobieto? Widzisz ich dobrze?

Oczywiście, że widziała. Siostra Tiana, mająca prawie sześć i pół stopy wzrostu, stała w rozpiętym kombinezonie; jej wielkie piersi lśniły od wody, którą piła z beczki z deszczówką. W drzwiach stodoły tkwił Zalman, brat Zalii. Ten miał prawie siedem stóp wzrostu i był wielki jak Lord Perth albo Andy, o twarzy równie pozbawionej wyrazu jak twarz Tii. Na widok dorodnej młodej dziewczyny pokazującej piersi dorodnemu młodzieńcowi mogłaby wyrosnąć buła w spodniach, ale nie Zally'emu. Jemu to się nie zdarzy. Był pokurem.

Zalia odwróciła się do Tiana. Popatrzyli na siebie, mężczyzna i kobieta, którzy nie byli pokurami tylko dzięki ślepemu szczęściu. Oboje wiedzieli, że równie dobrze to Zal i Tia mogli stać tutaj i patrzeć na stojących przy stodole Tiana i Zalię, o wielkich ciałach i pustych głowach.

– Oczywiście, że widzę – powiedziała mężowi. – Myślisz, że jestem ślepa?

– A czy czasem nie chciałabyś być ślepa? – zapytał. – Żeby ich nie widzieć, co?

Zalia nie odpowiedziała.

– To nie w porządku, kobieto. Nie w porządku. Nigdy nie było w porządku.

– Przecież od niepamiętnych czasów...